

brzmienie orkiestry, wszechobecne wstawki taneczne i chóralne.

Styl interpretacji Williama Christiego – lekki i dynamiczny, unikający wszelkich chropowatości – do dzisiaj się nie zmienił. Dobrze pasuje do utworu o takim charakterze jak „Dawid i Jonatan”. Wykwintne i eleganckie brzmienie chóru oraz orkiestry Les Arts Florissants wydaje się być stworzone do wykonywania muzyki francuskiego baroku. William Christie zebrał w 1988 roku wyrównany zestaw solistów, odnajdujemy wśród nich głośne nazwiska muzyki dawnej: Gérard Lesne, Jean-Paul Fouchécourt czy jakże charakterystyczny Dominique Visse. Wszyscy posiadają doskonałe wyczucie francuskiego *genre* operowego, w kreowanych rolach unikają zbytniej dosłowności i dramatycznego przerysowania, idealnie realizują wizję amerykańskiego dyrygenta.

Specyficzne dzieło Charpentiera, niepomyślane pierwotnie jako samodzielna całość, bezsprzecznie jest jedną z pereł francuskiego baroku. Kompozytor, nie zaniechując dialogu z teatrem muzycznym Lully’ego, próbuje stworzyć nowy gatunek muzyczny z niezwykle intrygującym efektem. Mające niemal ćwierć wieku nagranie Williama Christiego stanowi dokument kształtującego się w owym czasie ruchu muzyki dawnej, ale pozostaje również najlepszą fonograficzną realizacją tego pięknego utworu. ■

Wojciech Barcikowski – Polskie Radio

## Nowy „Obcy”, czyli religia kontra panspermia

*Prometeusz*, USA 2012,  
reżyseria Ridley Scott

**O**d razu uprzedzę – nie jestem miłośnikiem „uniwersum” związanego z serią filmów o „Obcym” i tylko o uszy obito mi się wcześniej, że ta produkcja ma jakiś związek z tematem. Idąc do kina, oczekiwałem twardego SF pomieszanego z horrorem. Czy film ten spełnił wymagania tak niewybrednego widza? Częściowo.

„Prometeusz” to przede wszystkim niezwykle sugestywne widowisko, dlatego warto je obejrzeć w kinie, a nie na laptopie. Obawiam się, że film ten wiele traci w przypadku braku trzęsących się od huku lądującego statku kosmicznego foteli kinowych. Tym różni się on choćby od „Incepcji” w reżyserii Christophera Nolana, która jest produkcją wybijającą się ponad przeciętność i trzymającą formę niezależnie od momentu oglądania oraz nośnika, na jakim jest odtwarzana. To, co widzimy na ekranie, oglądając „Prometeusza”, jest pełne przepychu, a nawet piękne (zdjęcia Dariusza Wolskiego). Niestety, obrazy, które warto obejrzeć, nie przesłaniają słabości scenariusza. Nic – może oprócz pierwszej sceny – nie wskazuje na to, że mamy do czynienia z dziełem niezwykłym. To, co wydaje mi się najbardziej irytujące, to powracające wrażenia mimetyczne. Kalki pomysłów zrealizowanych w innych głośnych tytułach tego gatunku stanowią motyw przewodni fabuły dzieła Ridleya Scotta. Oczywiście tam, gdzie wśród nich da

się odnaleźć choćby iskrę nadziei, mamy zwykle do czynienia z cytatem, a nie brakiem pomysłu. Wtedy też oglądający powinien poczuć się choć na moment lepiej. Nie chodzi jedynie o znakomicie opracowane fragmenty zaczerpnięte z „Lawrence’a z Arabii” z Peterem O’Toolem w roli głównej, ale także o szereg elementów scenografii nawiązujących do „oldschoolowego” SF złotej epoki gatunku zapoczątkowanej „Odyseją komiczną”, ze szczytem popularności przy „Gwiezdnym wojnach” (proszę zwrócić uwagę na ślize, które zastępują drzwi – trudno się nie uśmiechnąć).

To, czego brakuje filmowi Scotta, nawet nie do doskonałości, tylko do pewnej nieprzeciętności, to niewłaściwe zachowanie proporcji pomiędzy formą i treścią. Jak na *hard* SF za mało jest w nim interesującego *science*, które przecież rozumiemy dziś już nie tylko jako podniesione do n-tej potęgi możliwości promów kosmicznych, dział laserowych, ale także jako propozycję alternatywnej interpretacji ludzkiej kondycji czy też zdolności człowieka – tak naturalnych, jak i nienaturalnych (chciałoby się powiedzieć „nadprzyrodzonych”, ale dziś mało kto rozumie, co to tak naprawdę znaczy). Nawet kluczowy, jak się okazuje, wątek panspermii, czyli kosmicznego pochodzenia życia na Ziemi, nie został szerzej podjęty. Oczywiście to ciekawe, że w filmie głównego nurtu pojawił się tak silny akcent antydarwinowski, co w Stanach Zjednoczonych bardzo rzadko się spotyka. Propozycja panspermii, przedstawiona przez Svante’a Arrheniusa, promowana przez Francisa Cricka

i Freda Hoyle’a, a w sensie filozoficznym mówiąca o tym, że problemy z ewolucyjnym wyjaśnieniem pochodzenia DNA i życia zdecydowanie wykroczyły poza ramy paradygmatu darwinowskiego, weszła już, jak widać, do kultury masowej. Crick – zdeklarowany ateista i główny promotor teorii panspermii – nie widząc szans na zrozumienie tajemnicy życia w ramach teorii ewolucji, wysunął tezę, że życie musiało zostać przyniesione na Ziemię przez inne żywe istoty. Teoria ta ma także swoją drugą wersję – życie miało zostać sprowadzone przypadkowo, na jakimś niewielkim obiekcie (np. meteorycie), i dopiero na Ziemi rozwinąć się w pełniejszą formę.

Oczywiście panspermia stała się dla Scotta pretekstem, aby poruszyć zagadnienia egzystencjalne i metafizyczne. Zastępuje mu ona perspektywę darwinowską dotychczasowego głównego przeciwnika religii. Problem zawarty w filmie sprowadza się do zagadnienia, czy nadal można wierzyć w Boga wobec wiedzy, że życie dałoby się „stworzyć” w laboratorium. Kwestia ta, którą cały czas poddaje się licznym badaniom, wciąż jest wyłącznie teoretyczna, ponieważ nie osiągnięto żadnych wyników na drodze eksperymentalnego „stwarzania” życia (nie powinniśmy tych prób mylić z inżynierią genetyczną pracującą nad istniejącym już materiałem genetycznym). Panspermia stawia przed nami jeszcze jeden banalny, ale zasadniczy problem – mianowicie kto stworzył naszych „stwórców”. Nie ma na to dobrej odpowiedzi, gdyż albo powracamy do schematu darwinowskiego, albo zmuszeni

jestemy skłonić się ku koncepcji jakiegoś rodzaju kreacji. Jeden z bohaterów (o nastawieniu scjentystycznym) zapewnia swoją współpracowniczkę, a zarazem widzów, że panspermia stanowi dowód na to, że życie nie jest czymś wyjątkowym, tylko raczej powtarzalnym i odtwarzalnym. Czyżby?! W tym miejscu mógłby być ciekawie poprowadzony wątek teologiczny lub można by wprowadzić rozważania na temat inteligentnego projektu, czego jednak ostatecznie brakuje. Sumą zmagających metafizycznych jest wyłącznie zdziwienie jednego z bohaterów – inteligentnego cyborga, że nawet najgorsze doświadczenia nie mogą złamać w człowieku nadziei mającej swoje źródła w religijności. To dość pocieszające, ale chyba nic więcej. Jak bowiem wiara ma się do świata realnego przedstawionego w filmie – nie tylko wewnętrznego i ludzkiego? Wydaje się, że żegluję ona w kierunku Bultmannowskiego absurdu, a nie w stronę rozumu, jest wprawdzie ostoją szaleństwa świata, ale nic o tym świecie nam nie mówi – pozostaje raczej emanacją niezłomnej ludzkiej woli. A przecież wątek chrześcijański tego filmu można by wykorzystać bardziej płodnie. Co by wyniknęło z tego, gdyby religia ta, jak sama głosi, wywodziła się z Rozumu – Logosu, który stworzył świat, i pozwalała człowiekowi lepiej ten świat zrozumieć, a nawet go zbawiać? Co by było, gdyby oglądana w filmie rzeczywistość podsuwała nam myśl, że przywiązanie głównej bohaterki do niewielkiego metalowego krzyżyka ma sens szerszy niż tylko osobisty? Dlaczego nie kosmiczny?

Może taki scenariusz wymagałaby nadludzkiego rozumu, by uniknąć moralizatorstwa i banału...

Scott pozostawia zresztą w temacie religijności na przyszłość otwartą furtkę. Zagłada mieszkańców księżycyca LV-233, na którym swoją bazę mieli nasi „stworcy” – równocześnie z nieznanymi przyczyn pragnący zniszczenia gatunku *homo sapiens* – miała miejsce przed około dwoma tysiącami lat. Co to może oznaczać? Że zbawienie ludzkości nie przyszło z nieba, ale z gwiazd? To oczywiście pachnie Dänikenem i być może będzie stanowiło kolejne „wyzwanie” dla wiary głównej bohaterki filmu. Oby to wszystko zostało lepiej rozbudowane, dopracowane – w innym wypadku wszelkie symbole, tajemnicze znaki i języki okażą się kompletnie bez sensu, bez podparcia i uzasadnienia. Jeśli temat religijny pójdzie właśnie tą drogą, pozostaje mieć tylko nadzieję, że nie doczekamy się banalnych, naturalistycznych dopowiedzeń, w których Chrystus byłby wyłącznie jednym z poświęcających się dla ludzi „gigantów” – czymś w rodzaju nowego Prometeusza czy właściwie „Chrystusa-Prometeusza”.

Charakterystyczne dla kina amerykańskiego stało się to, że głębszą, metafizyczną czy religijną problematykę najłatwiej i najczęściej porusza ono za pomocą gatunku SF. Czyżbyśmy żyli w konwencji już tak zeświecczonej, że obraca się ona przeciw nam? Czy natura ludzka nie szuka luk w systemie, by dać wyraz zasadniczym tęsknotom ludzkiego serca? Naturalna religijność bywa zjawiskiem dwuznacznym,

ale może także łaska szuka miejsca, aby ofiarować swoje światło tym, którzy znajdują się w mroku – z dala od sakramentów oraz blasku Bożej chwały i miłości.

Osobnym tematem w filmie Scotta powinna być gra aktorska, a właściwie gra jednego aktora. Fassbender – jak to określiła jedna z osób, z którymi dyskutowałem na ten temat – po prostu „skradł film”. Może ktoś pomyśli, że to niedobrze. Ależ skąd – bardzo dobrze! Jego kreacja, gdyby tylko zostawiono jej więcej miejsca, mogłaby być wybitna, a tak jest bardzo dobra i w gruncie rzeczy ratuje całe dzieło. Niewątpliwie są w niej silne echa „postaci” komputera o imieniu Hall, który znany jest doskonale miłośnikom „Odysei kosmicznej”. To oczywiście nie wszystko – tam był tylko głos, a tu jest postać – w jakiejś mierze nieprzenikniona. Nie wiemy, czy dlatego, że skrywa w sobie jakąś tajemnicę, czy właśnie dlatego, że jest maszyną i nie ma w niej nic „do odgadywania”. Jeśli z jakiegoś powodu miałbym jeszcze raz obejrzeć ten film, to właśnie dla Fassbendera – czyli po prostu dla wielkiego aktorstwa. ■

*Tomasz Rowiński*

## **Antykryminał w cieniu krzyża**

Bronisław Wildstein, *Ukryty*, Zys i s-ka, Poznań 2012, s.256

**N**owa książka Bronisława Wildsteina prezentowana jest jako kryminał, ale to jedynie przybliżona klasyfikacja gatunkowa. „Ukryty” to raczej antykrymi-

nał albo kryminał metafizyczny, świetnie kontrastujący dwa modele życia przenikające się ciągle w nowoczesnym społeczeństwie. Z jednej strony życie na serio, jak u Koheleta, gdzie jest czas radości i czas smutku, walki i pokoju, czas pracy i czas odpoczynku, rozkoszy i wyrzeczenia (por. Koh 3,4-8). To świat ludzki – świadomy obecności Boga, ku któremu zmierzamy, zachowujący poczucie moralnego wymiaru indywidualnej i zbiorowej egzystencji, umożliwiające głębokie relacje z innymi. To oczywiście najważniejsze, ale wartością dodaną tego duchowego i społecznego porządku jest również dobra polityka wyrastająca z dobrego życia ludzi, republikańska koncepcja państwa, państwo dobra wspólnego – służące wspólnemu życiu, a w efekcie budujące i podtrzymujące wspólnotę.

Porządek ten jednak przestał już być oczywisty, co więcej – coraz częściej uważa się, że stanowi nie tyle porządek, co czynnik, który dezorganizuje ów mieniący się wszelkimi barwami świat, który możemy oglądać na okładkach kolorowych tygodników czy w ich dodatkach kulturalnych, kulinarnych i turystycznych. Jest przeszkodą rozwoju, bo odwraca uwagę od tego, co współczesna masowa kultura uznaje za najważniejsze – konsumpcji; jak mówi główny bohater „Ukrytego”: *Teraz jest okres zabawy i kpiny. Żałoba wdarła się w jego środek tylko na moment. Bo ma być karnawał*. Wspomniana żałoba to wydarzenia po katastrofie smoleńskiej, które są tłem cały czas zresztą wchodzącym w treść